Recenzja Fields of Blood, czyli nie taki koronawirus straszny…

Rok 2020 nie jest najszczęśliwszym rokiem, głównie z powodu panującej pandemii, ale można powiedzieć, że są tego pozytywy - zespoły nie mogą zarabiać na koncertowaniu i jeżdżeniu od festiwalu do festiwalu, co spowodowało, że muzycy weszli do studiów nagraniowych, a efekty są lepsze, niż można było się spodziewać, choćby w postaci albumu „Fields of Blood” zespołu Grave Digger.

Panowie w tym roku obchodzą 40-lecie swojego istnienia (dość nieszczęśliwa data na świętowanie, nieprawdaż?) i z tej okazji zdecydowali się na zaprezentowanie trzeciego „szkockiego” albumu. Czy tym razem staną na wysokości zadania i dorównają krążkowi „Tunes of War” z legendarnej Trylogii z 1996 roku, czy jednak będzie to przeciętniak, jak „The Clans Will Rise Again” z 2010 roku? Przekonajmy się!

Tytułem wprowadzenia, w wywiadzie, w którym frontman zespołu, Chris Boltendahl, prezentuje album, zawarta jest informacja, że nie jest to odmienny album koncepcyjny, gdyż nie przenosi nas w przeszłość, a jest opowieścią o strażniku jednego z muzeów, Edwardzie MacLeanie z klanu MacLeanów, który wędrując po korytarzach wyobraża sobie poprzez oglądane eksponaty wydarzenia historyczne.

Początkowe intro, „The Clansman’s Journey” wprowadza nas w typowo szkocki klimat poprzez szkockie dudy, które pod sam koniec przechodzą płynnie w kolejny utwór, czyli…  
  
W mocne uderzenie jednej z piosenek promujących album, czyli „All For The Kingdom”. Zostajemy przeniesieni do roku 1018, tuż przed bitwą pod Carham, a strażnik wciela się w jednego z żołnierzy króla Malcolma II. Galopujące tempo nadaje bitewnego charakteru, a solówka jest z tych ze złotego okresu lat 90. Niemców z Nadrenii Północnej-Westfalii.

„Lions of the Sea” opowiada o walkach Szkotów z Wikingami, którzy najeżdżali regularnie szkockie ziemie, siejąc popłoch i zniszczenie w zupełnie nowym powermetalowym stylu, ale wciąż z thrash/speedmetalowym pazurem. Możemy tutaj dostrzec pierwsze nawiązanie do „Tunes of War”, gdzie w jednej ze zwrotek pada fraza „The dark of the sun”, która jest tytułem piosenki z pierwszego szkockiego albumu Grave Diggera, a która także opowiadała o starcia Szkotów ze Skandynawami w postaci norweskich wojsk króla Haakona IV Haakonssona.

Kolejny utwór to galopujący „Freedom” ze świetną pracą linii perkusyjnej. Utwór, jak się można domyślić, nawiązuje do postaci Williama Wallace’a i ważnej dla Szkotów bitwy pod Stirling z 1297 roku, która doprowadziła do wyparcia z ziem szkockich wszystkich angielskich żołnierzy, z informacją, że Wallace został jednak zdradzony przez osobę z bliskiego otoczenia (mowa tu o Jacku Shorcie), a następnie stracony w Londynie.  
  
„Heart of Scotland” to z kolei piosenka, która zaczyna się świetnymi bębnami ze wstawkami szkockich dud, a w której po raz kolejny w twórczości zespołu na scenie pojawia się Robert the Bruce. Strażnik przedstawia historię Roberta the Bruce’a w momencie jego wyjęcia spod prawa po pojedynku i zabiciu pretendenta do korony Szkocji. Następnie opowiada on o kolejnych bitwach, wymieniając tę najważniejszą pod Bannockburn z 1314 roku, która podniosła walczący o niepodległość naród szkocki na duchu, zaś sam Robert jest przedstawiony jako tytułowe “Serce Szkocji”. Utwór przypomina pod względem brzmienia ciężki „The Bruce” z 1996 roku i akurat to wychodzi mu bardzo na dobre, spowalnia trochę pędzące przez pierwsze utwory tempo, wprowadzając nas powoli do…

Kolejnego kawałka, czyli nastrojowej ballady „Thousand Tears”, w której główną rolę grają szkockie dudy, a w którym gościnnie wystąpiła fińska wokalistka Noora Louhimo. Wciela się ona w utworze w Marię I, królową Szkotów, która została uwięziona przez swoją kuzynkę, Elżbietę I, władczynię Anglii, a następnie stracona po przedstawieniu fałszywych dowodów na spiskowanie przeciwko Elżbiecie. Dudy w tym utworze to najmocniejsza część albumu, bardzo dobrze wpasowują się w klimat, czyli płacz po śmierci Marii I, która po śmierci zajaśniała niczym gwiazda, kiedy jej syn, Jakub I Stuart, po objęciu tronu Anglii przeniósł jej szczątki do Opactwa Westminster.

Następna piosenka przenosi nas już do roku 1603, kiedy nastąpiło tytułowe „Union of the Crown”, które opowiada o momencie przejęcia władzy przez Jakuba I po bezdzietnej śmierci Elżbiety I, a tym samym unifikacji szkockiego i angielskiego tronu w jeden. Piosenka świetnie sprawdza się jako filler, ale wyjęta z całego albumu nie rzuca na kolana. Ot, kolejny poprawny utwór w dyskografii zespołu.

„My Final Fight” to z kolei dość nietypowa pozycja, patrząc od strony muzycznej. Mamy tutaj galopujące linie gitarowe, ale w bardziej rockowy niż metalowy, thrashowy sposób, do którego przyzwyczaił swoich fanów Grave Digger. Strażnik wspomina próby przejęcia władzy przez Karola III Stuarta, syna Jakuba I Stuarta i Marii Sobieskiej, wnuczki Jana III Sobieskiego, który wywołał powstanie w 1745 roku powstanie. W wyniku walk zniszczonych zostało wiele szkockich klanów, a sami Szkoci ponieśli porażającą klęskę, lecz strażnik nie ma zamiaru oceniać, czy postępowanie Karola Edwarda było słuszne, czy nie.

Kolejne dwa utwory, czyli „Gathering of the Clans” oraz „Barbarian”, to kontynuacja historii Karola Edwarda, w której klany zbierają się, aby dokonać zemsty i pomścić poległych ze swoich klanów. Druga piosenka to przedstawienie Wilhelma Augusta Hannowerskiego, który zostaje przedstawiony jako:  
  
„Zimnokrwisty morderca  
Zabójca jakobitów

Rzeźnik Culloden  
Barbarzyńca z Cumberland”

Oba kawałki są solidne i przewyższają poziom większości z „The Clans Will Rise Again” i wpasowałyby się w świetne „Tunes of War”.

Na sam koniec otrzymujemy tytułowe „Fields of Blood”, czyli ponad dziesięciominutowy utwór, w którym kustosz kończy przejście przez muzeum, mówiąc, że duch Szkotów nie zginął i kiedyś powstanie on z popiołów ze wszystkich szkockich ziem, które były skąpane w ich krwi. Świetne przejścia i chór w refrenie powodują, że po przesłuchaniu całego albumu nie ma się poczucia straconego czasu. Album zamyka instrumentalne „Requiem for the Fallen”, które zostało nagrane wraz ze szkocką orkiestrą z Highlands, która brała już udział przy tworzeniu „The Clans Will Rise Again”.

Podsumowując, czy jestem zaskoczony tym albumem? I tak, i nie… Tematyka utworów, jak i muzyka, to coś, co mnie nie zaskoczyło, w przeciwieństwie do poziomu albumu, który równa raczej do złotej ery zespołu lat 90. niż do ostatnich wydawnictw, które były do bólu przeciętne. Sam krążek także bardziej nawiązuje do wydarzeń historycznych, jak w „Tunes of War”, niż do szkockich legend i rycerzy z „The Clans Will Rise Again”. Chris Boltendahl i spółka pokazali, że potrafią wykrzesać po 40 latach bardzo dobry album i że ich twórczość będzie już chyba do końca nierozerwalnie połączona z albumami koncepcyjnymi, zwłaszcza tymi związanymi ze Szkocją.

Ocena: 9/10